

W szkole, do której rzadko chodziło się z przyjemnością, było nauczycieli w bród. Zazwyczaj przypadkowych, traktujących kontakt z młodzieżą jak kolejny, przymusowy odrobek pańszczyzny. Sfrustrowanych, zgorzkniałych, zakompleksionych, którym przyszło uczyć „cudze dzieci”, którym sfajczyły się słoniowate ambicje i niewczesne marzenia o naukowych dokonaniach, którzy, zamiast tego, trafili za karę do szkół jako „pedagogiczne ciało”. I, nie tworząc niczego nowego, nie poszerzając zdobytej wiedzy, nie walcząc z przeładowanym programem, kontentowali się tym tylko, co wynieśli z liceum.

A naumieli się nieprzydatnych bzdur. Dzięki nim szary księgowy posiadał operacyjną wiedzę na temat konstrukcji żaby, nie miał natomiast pojęcia o bilansach, budżetach i stopach procentowych. Zdechły w nich wielkie plany na najbliższe kiedyś. Stawali się albo złośliwymi urzędnikami szlajającymi się po MEN-ach, albo pokornymi administratorami cudzego przychówku.

Nieliczni zaś, wychowawcy z powołania, edukowali - podobnych sobie: pasjonatów obdarzonych poznawczą inwencją, przygotowanych do poszerzania granic. Tych pamiętamy do dziś, to oni nadali sens wszelkim „usprawiedliwieniem” faktów, to oni sprawili, że nasze szkolne wspomnienia są arkadyjskie, to dzięki nim jesteśmy wyzwani z uprzedzeń, zabobonów, gusł blokujących zdrowy rozsądek, zaopatrzeni w trzeźwe oceny i nieprzekupne zdania.

To im zawdzięczamy, że rozbudzili w nas poznawcze żądze. Ciekawość i wieczny, a niezaspokojony głód wiedzy; ciągłą, lecz na szczęście, daremną pogoń za jej horyzontem. Wracamy do nich z niekłamanym sentymentem, przywołujemy pamięcią ich głosy przesycone ciepłem, życzliwością do świata, ich nauczycielskie twarze, fizjonomie znamionujące bezwarunkową aprobatę.

*

Gdy, z okazji urodzin, odwiedzam dom mojego nauczyciela, widzę pomarszczone oblicze pełne wewnętrznego blasku. Rozpromienione na myśl, że jestem owocem poświęconych mi starań, efektem pedagogicznego trudu, że nie zmarnował lat spędzonych na wbijaniu do mojej głowy tych wartości, które były dla niego ważne.

Zaprasza mnie do stołu, podsuwa najlepsze krzesło, cieszy się, że ktoś jeszcze o nim pamięta. Pytam, jak spędza czas, jak mu się wiedzie. Mówi po chwili, że co dnia siedzi przy ławie. Na ławie sterczy korytko z papu i termos z lurą. Nieruchomy, odrętwiały, wegetuje w ciemnej, kiszkowatej rupieciarni. Ława stoi przed oknem wybaluszonym na park. Jest zagapiony w nic. Widzi nie widząc. Patrzy, choć nie wie, na co, w dal, w głąb, do wewnątrz, jak kret.

Mało kto go odwiedza. Dawni koledzy wypięli się na jego problemy. Ale mimo to nadal uparcie czeka na ludzi, którzy przychodzą do niego, którzy odwiedzają go dla draki, prawdopodobnie po to, by zaliczyć test z wrażliwości, by poczuć się lepiej i pochylić się nad jego malowniczą niedolą. Przychodzą sporadycznie, przypadkiem, wpadają jak po ogień i od wielkiego dzwonu, załazą do niego oblizując spierzchnięte wargi. Ładują za jamnikiem, wyłuszczają mu skomplikowane motywy swojego najścia. Dyskretnie rozglądają się po kątach, by dowiedzieć się, jak mu się miewa, by napawać się ubóstwem wyłazającym ze szpar podłogi, by rozkoszować się jego bezwładem, by przekonać się, jak sobie nie radzi z nędznym żywotem.

Chwaląc postrzępione płyty odpadającego sufitu, poklepując ściany wyłożone dyplomami, rządowymi dowodami świadczącymi o rocznicowym uwielbieniu, o jubileuszowych wyrazach aprobaty udzielonej na odczepnego, rozplywając się na temat pieca o niebanalnym, fikuśnym wzorze kafli, wychłodzonego, lecz jeszcze od biedy nadającego się do podziwiania, wyciągali go na zwierzenia, które ich nic nie obchodziły, a były częścią zaplanowanej hecy.

Lecz zwykle udaje, że jest radosny. Robi dobrą minę do złej gry. Wbrew pozorom ignoruje nietakty. Jest uśmiechnięty, optymistycznie nastawiony do siebie. Optymistycznie, bo mogło być gorzej. Od razu mógł rozczarować się do ludzi. Jest więc pogodzony z dotychczasowymi i przyszłymi konsekwencjami własnej naiwności. Z udzieloną lekcją: zbytniego zaufania do fałszywych bliźnich.

Na ogół zasypia nad ranem. Rankiem wpada do niego sąsiadka, kobiecina opiekująca się nim jak synem. Była gościem z początku, a wyręką później, przyszywaną babcią zza ściany, staruszką bez której nie potrafi się obejść.

Na niziutkiej emeryturce, łagodna, wyrozumiała, bywała w niejednym nieszczęściu, oblatana w utrapieniach, skłonna do pomocy, to robi, tamtego dopatrzy, zgłasza się na jego pukanie, pyta, czy aby gdzie nie pójść, może do apteki, może po co chce. Lecz on mało co chce. Nie narzeka, nie pragnie wizyt upstrzonych fałszywym współczuciem, jawnej, czy tajnej, w oczy lub za plecami - szydery, śmiechu przez krokodyle łzy; chce pogadać tylko, tylko się przytulić.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

OWSIANKO, dodano 19.11.2021 10:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.